

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA

# TUMAN KRWAWEJ MGŁY



Andrzej Juliusz Sarwa  
Tuman krwawej mgły

*Niechaj szepcą jezuita,  
Niechaj wrzeszczą demagogi,  
Że cel wielki, a ukryty,  
Odwszteczenia podłe drogi,  
Że, przypadków idąc kotem,  
Wolno w bagna zejść szatana,  
Potem dusza, w nich skąpana,  
Znow odnajdzie się aniołem;  
Że się zmaże hańby karte,  
Że królestwo Boże – z czarta,  
Że Wszchedobro Złego warte,  
Że Wszchemiłość zbrodni warta!...*

Zygmunt Krasiński

Andrzej Juliusz Sarwa

# Tuman

krwawej mgły

Armoryka  
Sandomierz 2019

Tekst: *Andrzej Sarwa*  
Projekt okładki: *Juliusz Susak*  
Korekta: *Zespół*

Copyright © 2019 Wydawnictwo *Armoryka*  
All rights reserved.



Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-773-2

## Prolog



Skonał... w męce okrutnej... między Ziemią a Niebem rozpięty... krwią brocząc z ran, a z serca oprócz krwi wtrysnęła też i woda... i pouciekali wszyscy, którzy zapewniali go o miłości, wierności, oddaniu...

A On umierał, z zalem strasznym wołając, wpatrzony w nie-skończony przestwór nieba: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?!”.

I tylko Matka u nóg Jego stała... i tylko uczeń jeden... i siostra Matki Jego, Maria Kleofasowa, i Maria Magdalena... a wszyscy inni pouciekali... pouciekali strachem zdjęci... i pełni żalu, rozczarowani, bo ich zawiodł... bo się spodziewali, że On to właśnie wyzwoli Izraela, koronę królewską przywdziawszy... a oni będą współrządzić wraz z Nim, dygnitarzami zostaną, a złoto całego świata trafi do ich kieszeni, a wszyscy mieszkańcy Ziemi będą ich niewolnikami, godnymi tylko wzgardy, a których jedynym sensem istnienia jest tylko to, by służyć *wybranemu przez Boga plemieniu...*

Tymczasem skonał na drzewie hańby, a oni przecie z *Pism* wiedzieli, a i starsi ludu tak nauczali, że kto na drzewie powieszony śmierć poniesie, ten jest przeklęty od Boga... więc po-

uciekali, ratując skórę, a może i głowy... uciekli przed bożym gniewem i zemstą przeciwników Ukrzyżowanego...

Ale wszystko się odmieniło i ci, co Go opuścili, kiedy powstał z martwych, wrócili. A gdy odszedł do Nieba, na ich oczach wznosząc się w górę, aż obłok Go zakrył, znów pozwolili, by nimi owładnął strach. I dopiero gdy w Dzień Pięćdziesiątnicy zstąpiły na nich języki *Ognia*, odzyskali odwagę i nabrali mocy.

Już trwoga nie przepełniała ich serc i umysłów. Szli od wsi do wsi, od miasta do miasta, z kraju do kraju i głosili *dobrą nowinę* o Królestwie Bożym.

I oddawali życie za to. I cierpieli tortury. I prześladowania. Palono ich ogniem, gotowano we wrzącym oleju, zabijano mieczem, rzucano lwom i innym dzikim bestiom na pożarcie, krzyżowano i podpalano na tych krzyżach. A oni trwali i coraz większe tłumy przyjmowały naukę *Umarłego* i *Zmartwychwstałego*. A im więcej mąk zadawano Jego wyznawcom, im więcej ich mordowano, tym więcej przybywało nowych...

*Dobra nowina* szerzyła się niczym pożar – nie tylko w Palestynie, nie tylko na terenie *Imperium Romanum*, ale i w Persji, a i dalej na Wschodzie także, najpierw po Indie, a jeszcze potem dalej i dalej, by w końcu objąć obszar niepomierzony – od Irlandii po Chiny i mongolskie stepy...

A ci prześladowani wyznawcy Mesjasza z Nazaretu, zwanego Chrystusem, to jest Namaszczonym, mówili, iż są *Kościołem*...

\* \* \*

Lecz czas płynął i ludzie się zmieniali. I *Kościół* się zmienił. Ze zgromadzenia męczenników, tworzących *Mistyczne Ciało Jezusa*, powoli, bo powoli, lecz przeistaczał się w *korporację*. A ci, którzy nią kierowali, uznali, iż nie muszą być już *śługami*, jak im nakazał Pan, na dodatek potwierdzając owo własnym przykładem, lecz mogą być *władcami*. I zaczęli żyć niczym książęta narodów, przywdziawszy mitry i szaty purpurowe. A narody jeły się buntować. A ponieważ utożsamiały owych książąt Kościoła w purpurze i szkarłacie z Panem Chrystusem, buntowały się i przeciw Niemu...

I grzech i bezbożność i herezja i apostazja rozpełzły się po całym świecie. I poczęto mówić w głos, co niegdyś szeptano po cichu, iż nie ma jednego Boga, ale jest ich dwóch – równorzędnych sobie – Bóg Dobry i Bóg Zły. I że toczą między sobą walkę. I że nie jest ważna wiara ni uczynki, lecz wiedza, lecz wtajemniczenie przekazane w skrytości, *sub rosa*.<sup>1</sup> A książęta Kościoła, chociaż następcy Apostołów, nie byli już dla nich tymi, którym ufa się bezgranicznie.

Grzech się rozpełzł po świecie, rozlał niczym brudne fale powodzi, która wiosną pokrywa rozległe połacie kraju, a z wartkim prądem niesie wszystko, co się jej uda porwać po drodze i piękne przedmioty wymyte z pałaców i liche sprzęty z biednych chat i trumny wypłukane z cmentarzy... I grzesznych ludzi i niewinne zwierzęta...

Wielu było takich, którzy widząc, co się dzieje, zepsucie, rozpustę i każdy rodzaj grzechu, jakiego się dopuszczano, i brak poszanowania dla jakiegokolwiek świętości, wieszczyli, iż Pan Bóg już rychło ześle karę na gorszycieli, na zdeprawowanych, na chciwców, na bluźnierców.

---

1 *Pod różą* (łac.) – tu: potajemnie, w ukryciu.



I że powróci, by świat osądzić.

Wróci, jak to młodzieńcy w białe szaty odziani zapowiedzieli uczniom przy wniebowstąpieniu: „Mężowie Galilejscy! Czemu stoicie, patrząc w niebo? Ten Jezus, który wzięty jest od was do nieba, tak przyjdzie, jakoście go widzieli idącego do nieba”<sup>2</sup>.

A właśnie zbliżał się schyłek pierwszego tysiąclecia od narodzin Zbawiciela. Data nie tylko okrągła, lecz i symboliczna...

\* \* \*

Już wrzesień roku 989 przyniósł pierwsze ostrzeżenie, w postaci jasnej komety rozświetlającej nieboskłon, a rychło potem przyszedł znak drugi: unicestwienie przez ogień wysuniętego najdalej na zachód ówczesnej *oikoumene*<sup>3</sup>, leżącego na wyspie u wybrzeży Armoryki<sup>4</sup>, klasztoru i chramu dedykowanego największemu, po Błogosławionej Maryi Dziewicy, obrońcy chrześcijan, świętemu Michałowi Archaniołowi, co uznano za omen kataklizmu tak czytelny, że czytelniejszy już nie mógł być się zdarzyć.... Pośród ludzi zaczęła wtedy szerzyć się histeria, która osiągnęła apogeum u schyłku roku 999.

I był to czas, gdy świat okrywał gęsty, mroczny cień, cień roku tysięcznego od narodzenia Pana naszego Jezusa Chrystusa, roku, który w całym chrześcijańskim świecie – przesiąkając też do społeczności *Maurów* i *Żydów* – wzbudził popłoch, a ludzie z drżeniem oczekiwali końca świata i rozliczenia podłości, jakich się dopuszczali ich ojcowie, oni sami i ich dzieci. Kiedy

---

2 *Dzieje Apostolskie*, rozdział 1, werset 11 – wg *Biblii Ks. Jakuba Wujka*.

3 Ekumena (gr.) – tu: obszar całego znanego i zamieszkałego świata.

4 Armoryka, łac.: *Armcorica* – Kraj Nadmorski, Bretania.

to niejednego dotknęło szaleństwo, gdy spoglądał na poukrywane w skarbcach i bezpiecznych schowach kosztowności, wsłuchiwał się w pobrzękiwanie złotych i srebrnych monet, które przesypywał między palcami i zachłannie wpatrywał w blask skrzących się drogich kamieni, jednocześnie uświadamiając sobie, iż wszystko to pójdzie na zmarnowanie i wraz z żywiołami w nieugaszonym ogniu stopnieje...

I był to czas, kiedy bojaźliwi przemodlili i przeprościli mięsiące, na klęczkach, w błagalnych gestach wyciągając ku niebu ręce i odgniatając kolana, a ciała niektórych spływały krwią od zadawanych grzbietom pokutnych samookaleczeń. Nie cichły jęki i zawodzenia, zebranej u Nieba litości i zmiłowania, a dla innych, bluźnierców zuchwałych, tych, którzy do końca Niebu wygrażali pięścią, na odwrót: wzmógł się szal pijacki i rozpustny... I wreszcie nadszedł dzień 1 stycznia roku 1000, który przed jego nastaniem, obwołano mianem *dies irae*, czyli *dniem gniewu*.

Nadszedł i... spokojnie przeminął.

A wówczas codzienność popłynęła starym łożyskiem, niczym rzeka, która, po wylewie znów powraca do swego koryta. Lecz był to tylko pozór, bo tak naprawdę rozpoczęła się dla świata nowa epoka. Epoka *ocalałych od zagłady*, bo za takich się mieli ci, którzy ów straszny rok tysięczny przeżyli, nie postradawszy zmysłów i nie utraciwszy wiary.

Tyle że dla wielu znów na oścież rozwarła się brama ku niepohamowaniu, aby grzeszyć od nowa, więcej jeszcze i bardziej ochoczo, bo nieomal natychmiast zapomnieli o dniach spotniałych od lęku i nocach gęstych od koszmarnych majaków, z których budził ich własny krzyk przerażenia.

Lecz wielu innych wpieryw odczuwszy ulgę, zdumiało się, stawiając dręczące, niedające spokoju pytanie: dlaczego?!

Musiał być jakiś błąd w obliczeniach! To pewnie nie ta data! Jasne! Oczywiście! Nie ta data! Więc liczyli i liczyli od nowa i odnowa. I coraz to inne wyznaczali terminy, aż wreszcie ktoś wymyślił, iż ostatnim będzie rok tysięczny, ale nie od narodzin, lecz od śmierci Zbawiciela, a więc rok 1033. Wszakże i ten spokojnie przeminął, a świat trwał...

\* \* \*

W tym czasie, gdy chrześcijanie byli zajęci obliczaniem coraz to nowych dat dnia Sądu Ostatecznego, w Egipcie kalif Al-Hakim bi-Amr Allah zajmował się zgoła czym innym. Początkowo jako pobożny muzułmanin wybudował w Kairze wspinały meczet noszący po dziś dzień jego imię, później jednak – nie wiadomo czy ogarnięty religijnym obłędem, czy może raczej o władnięty przez *demoniczne dżiny*, choć początkowo dość wyrozumiały i łagodny dla chrześcijaństwa zaczął je w sposób gwałtowny i bezwzględny zwalczać, choć matkę miał chrześcijankę. Prześladował duchowieństwo i wiernych oraz na ogromną skalę burzył kościoły.

W ciągu dziesięciu lat najdzikszego religijnego terroru, trwającego od roku 1004 do 1014 rozkazał obrabować i spalić ponad trzydzieści tysięcy chrześcijańskich świątyń i monasterów! *Szczytowym zaś dokonaniem tegoż kalifa było, w roku 1009, w Jerozolimie, zrównanie z ziemią Bazyliki Grobu Pańskiego, po której nie został kamień na kamieniu.*

Szaleństwo Al-Hakima po roku 1014 przybrało jeszcze inną formę. Oto zaczął się skłaniać ku naukom ismailitów, głosicieli

i wyznawców ezoterycznych doktryn zawierających pierwiastki filozofii platońskiej wymieszane z gnostyckim mistycyzmem, które były zarezerwowane tylko dla wtajemniczonych. Kalif ostatecznie przystał do tegoż ruchu, z którego wyemanowała nowa grupa religijna – *druzowie*. Była to kulminacja działalności władcy, który już na początku swoich rządów zapowiedział nadejście nowej ery – ery prawdziwego monoteizmu. A sam ogłosił się inkarnacją Boga, który objawił się w ludzkim ciele, po to, aby naprawić wszystko, co zostało wypaczone przez islam, chrześcijaństwo, judaizm i inne religie.

Ostatecznie kalif rozkazał, by Hamza ibn Ali ibn Ahmad, perski ismailita, który w roku 1014 przybył do Egiptu i zaczął tu nauczać, w maju roku 1017 ogłosił rozpoczęcie tejże ery, w której wyznawać się będzie nową religię, *al-Muwahhidun* – *Monoteizm* i że Al-Hakim jest Bogiem wcielonym, co zostało potwierdzone stosownym dekretem.

Doktryna, której wyznawcy ostatecznie zostali nazwani *druzami*, przypisująca sobie pochodzenie od Abrahama, w rzeczywistości jest systemem synkretycznym zawierającym w sobie elementy najrozmaitszych filozofii i religii – gnostycyzmu, neoplatonizmu, pitagoreizmu, ismailizmu, judaizmu rabinicznego, heterodoksyjnego chrześcijaństwa, hinduizmu, buddyzmu, monoteizmu egipskiego sięgającego – być może – czasów Echnatona, zaratusztrianizmu, manicheizmu i oryginalnej myśli samego Hamzy, a może i kalifa al-Hakima także. Na ich bazie powstała odrębna i częściowo tajna teologia, interpretująca święte księgi – *Koran*, *Pismo Święte Nowego Testamentu* i własne dzieło *Kitab al-Hikma* – na sposób i egzo- i ezoteryczny, podkreślająca znaczenie roli umysłu i wiedzy, a nie wiary, dzięki czemu człowiek może ostatecznie osiągnąć stan

*przebóstwienia*. Ponieważ nie jesteśmy jednak doskonali, to aby owo osiągnąć, musimy przejść przez cykl licznych narodzin i śmierci, odradzając się w coraz to nowych ciałach. Dopiero po zakończeniu tej wędrówki dusza dotrze do końca cyklu narodzin i zjednoczy się z *Al-aqal al kulli* – *Umystem Kosmicznym*.

To jest wiedza egzoteryczna, jawna, dostępna dla wszystkich. Jest jednak jeszcze inna wiedza, znana wyłącznie wtajemniczonym, bo druzowie podzielili się na dwie klasy – nieświadomych profanów *dzuhhal* i wtajemniczonych oświeconych – *ukkal*. Tyle że na jej temat nic nie wiadomo. Owszem są różne domysły, przypuszczenia, hipotezy, ale... *od XI wieku aż po dziś dzień nie znalazł się nikt, kto zdradziłby tajemnicę...* Aż trudno w to uwierzyć, niemniej takie są fakty.

Hamza ibn Ali ibn Ahmad, początkowo popierany przez kalifa, w końcu stracił jego zaufanie. Przyczyną tego była chęć wprowadzenia zbyt radykalnych reform – bezwzględnej walki z dawną tradycją, postulowanie wprowadzenia zakazu wielożeństwa, rozwodów, powtórnych małżeństw i innych zwyczajów, do których ludzie byli przywiązani.

Hamza był też atakowany przez innych teologów, w tym również swojego bliskiego współpracownika, któremu na imię było Ad-Darazi. Ostatecznie został przepędzony i nie tylko ślad po nim zaginął, ale został praktycznie zapomniany.

Nie minęło wiele czasu, a podobny los spotkał kalifa.

Al-Hakim uwielbiał samotne nocne wędrówki i z jednej z nich, na którą się wybrał w środę, 13 lutego, 1021 roku, już nie wrócił. Poszukiwania nic nie dały. Bóg i zarazem kalif, czyli władca wiernych, przepadł bez wieści... Co się z nim stało? Czy spotkał go jakiś wypadek? A może został porwany

i uwięziony? Być może stracił pamięć? A może został zamordowany? Cóż, wszystkie te przyczyny są prawdopodobne, druzowie jednak wierzą, iż wstąpił do nieba...

Po zniknięciu Hamzy i Al-Hakima przywództwo nad druzami objął Baha'uddin Ali ibn Ahmad ibn ad Dayf<sup>5</sup>, który przed śmiercią, w roku 1043 zakazał głoszenia nowej wiary, a przyjmowanie nowych członków do społeczności druzów zostało zabronione, w oczekiwaniu na powrót Al-Hakima, na Dzień Sądu Ostatecznego, na złoty wiek, i na *Nowy Porządek Świata*, który ma nastąpić.

Na Dzień Sądu i Nową Ziemię czekali także i chrześcijanie. Lecz to trzeba było odłożyć na później, najpierw bowiem należało odzyskać Jerozolimę i Grób Pański.

Zachód ruszył tedy na wojenną wyprawę przeciw Saracenom... Co też się i udało. Grób Pański odzyskano, a Bazylikę wnoszącą się nad nim odbudowano... Teraz trzeba było już tylko strzec zdobyczy. Stróżami Grobu zostali król jerozolimski oraz świeccy i zakonni rycerze... Do czasu...

Lecz i to odeszło w mroki przeszłości... królowie... kalifowie... rycerze... mnisi... wojny... zwycięstwa... klęski... łupy... krew... łzy... kary zsyłane przez niebiosy... głód... swary i waśnie... i śmierć czarna... i upadek dawnych autorytetów... a potem – Stary Świat uległ transformacji, ale za to Świat Nowy otworzył swe bramy dla tego, co w Starym Świecie zaczęło przemijać... i odtąd nic już nie było tak jak wcześniej... bo odwieczny ład kruszał i butwiał, świat zaś i ludzkość dryfowały w stronę ładu nowego... czy lepszego, jak ludziom wmałwiano?...

---

5 979-1043.

A jakież to był jego początek? Nader prozaiczny... Bunt i sprzeciw wobec zastanego porządku... Bo po co naprawiać? Lepiej zniszczyć i... zastąpić swoim porządkiem, według własnych prywatnych wyobrażeń... A może... a może podszeptów diabelskich?...

\* \* \*

Szczególny to był rok, ów rok 1517. Jakiś dziwny i jednocześnie tragiczny, bo rozsiewający zarazki rozłamu w Kościele i buntu przeciw papieżowi rzymskiemu i to na taką skalę, na jaką nigdy jeszcze dotąd się przeciw następcy Piotra nie buntowano. I to ledwie kilka miesięcy potem jak Leon X uroczyście potwierdził na Soborze Laterańskim V to, co ogłosił jego poprzednik Bonifacy VIII w bulli *Unam Sanctam*<sup>6</sup>, zawierającej takie między innymi rewelacje: *...oznajmujemy, utrzymujemy, określamy i ogłaszamy, iż dla osiągnięcia zbawienia konieczne jest posłuszeństwo każdej istoty ludzkiej Biskupowi Rzymskiemu...*

A ludzie myśleli, że przede wszystkim trzeba przestrzegać tych dwóch przykazań, na których zawisło całe Prawo i Proroicy: *Będiesz miłował Pana, Boga swego, z całego serca swego i z całej duszy swojej, i z całej myśli swojej... Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego.*<sup>7</sup>

---

6 *Unam Sanctam... Jeden Święty* [Kościół] tytuł encykliki pochodzący od jej pierwszych słów.

7 *Ewangelia św. Mateusza*, Rozdział 22, wersy 37 i 39 – wg Biblii Warszawskiej.

Tak więc ledwo co minęło owe siedem miesięcy od zamknięcia obrad *Lateranense Quintum*<sup>8</sup>, a przeciw papieżowi, oskarżając go o to, iż jest Antychrystem i diabłem wcielonym, wystąpił sławny augustiański mnich rzymskokatolicki, wielbny ojciec Marcin Luter, człek uczony, doktor.

Luter – pokorny, ubogi, pobożny – rycerz prawdy i gołąbek pokoju, nieumiejący pogodzić się tylko z niegodziwością apostołską.

Zachwyił lud. Szczególnie niemiecki.

Zachwyił władców i szlachtę.

Nie brakowało jednakowoż takich, którzy dostrzegli w nim coś z węża...

Nienawistnicy, zazdrośnicy?

Ba! Nie inaczej.

A może jednak nie?

Niemożliwe! Wszak chciał nareperować gmach Kościoła, który sypał się i szedł w ruinę... pokorny, ubogi, pobożny mnich...

„– Och – powiadali jedni – jego wystąpienie przeciw Rzymowi... to nic osobistego, on niczego dla siebie nie chce!”.

„– Wąż, chytry, przebiegły, podstępny i samolubny – dowodzili inni – zresztą zobaczycie, maluczko a zmieni skórę, jak to u wężów jest w naturze”.

A naprawa Kościoła, którą Luter rozpoczął od młotka, czterech gwoździ i karki papieru z dziewięćdziesięcioma pięcioma tezami przeciw papieskim naukom, którą przybił o poranku 31 października 1517 roku na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze, a których sens najważniejszy można by stre-

---

8 Chodzi o *Concilium Lateranense Quintum* – Sobór Laterański Piąty (1512-1517).



ścić w jedynym zdaniu: „Czemuż to papież, skoro taką władzę posiada, nie uwolni z czyścica wszystkich dusz, miłością się kierując i miłosierdziem względem nich, a jeno niektóre i to na dodatek za pieniądze?”

Zatem, jako się rzekło, naprawa Kościoła szła już teraz pełną parą!

Przy pomocy siły umysłów i siły mięśni, siły władców i siły ich mieczy!

„– Zobaczycie, że zmieni skórę, jak to u węzów jest w naturze!” – upierali się nienawistnicy.

„– A cóż on może? – mnich-biedaczyna wyniszczony ascezą, o czymże mówicie?!” – oburzali się obrońcy.

„– Wyniszczony? Czym wyniszczony?! – rechotali przeciwnicy – Toż to opój i żarłok o ile jeszcze nie co gorszego. Ledwo mu się tłuste dupsko w ten przyciasny habit mieści!”

„– Och bluźniercy! Każden papież – ten to ci jest dopiero opój, żarłok i rozpustnik!” – ciskali się oponenci.

„– Który? Medici? Leon X?<sup>9</sup> Brednie! Człek spokojny i pobożny był”.

„– Jakie znów brednie? To był żarłok, pamiętacie tę jego spasioną gębę. A na dodatek jawny ateusz i sodomita!”

„– Łgarstwa! Ateusz? Przenigdy, on w Boga wierzył głęboko! Sodomita? Też coś! Co najwyżej na sodomie kardynałów oko przymykał. Może to i niechwalebne... może... Na ten przykład kardynał Bibbiena<sup>10</sup> odkrytym sodomitą był, i owszem, zaprzeczyc się nie da, ale Ojciec Święty?! – przenigdy!”

---

9 1475-1521.

10 Bernardo Dovizi da Bibbiena (1470-1520), kardynał, znany sybaryta, libertyn i jawny homoseksualista.

„– No właśnie – rehotali przeciwnicy – przez ścianę niemal mieszkał z tym Bibbieną. Jak brat z siostrą żyli, nie inaczej! Jak brat z siostrą! A żywili się prażonym grochem bez omasty i źródlaną wodą zapijali”.

„– Czego się czepiacie? I jeden i drugi już pomarli!”

„– A co? Papież Boeyens, Hadrian VI?<sup>11</sup> Ten był lepszy?”

„– A co mu zarzucacie? Uczciwość? Zresztą też już mu się zmarło, czym niebywale uradował niewdzięcznych rzymian!”

„– No to nam się w komplecie ostał jeszcze Giuliano Medici Klemensem VII<sup>12</sup> zwany, sam bękart i ojciec bękart, co to go na dodatek z czarną murzynką spółdził! Ten ci dopiero wzór świętości! A doktor Luter dwóch już przeżył. I to w dobrym zdrowiu. A dozwoli Pan Jezus to i Klemensa przeżyje!<sup>13</sup> To, komu Pan Bóg błogosławi? He?”

„– A my was ostrzegamy, że ów cały Luter to wąż chytry i prędzej, czy później zrzuci skórę. Najpierw wszelako uwiedzie z was, ilu się tylko da. Pomnicie nasze słowa!”

„– Zakładać się nie będziemy”.

„– Pewnie. Czas pokaże. Już rychło”.

\* \* \*

Rankiem 9 października 1524 roku przyodziany w czarny habit z kapturem augustiańskiego mnicha, ściągnięty takiejże samej barwy skórzanym pasem i przełożonym przez głowę

---

11 1459-1523.

12 1478-1534.

13 Klemens VII zmarł w 1534 roku, zaś Marcin Luter w roku 1546, za pontyfikatu Pawła III, też za młodu nieliczego rozpustnika, który dwóch swoich nieletnich wnuków mianował kardynałami.

szkaplerzem, zakrywającym barki, plecy i piersi, z kapłańską stulą zwisającą z ramion, chociaż już w żadne tradycyjnie pojmowane kapłaństwo nie wierzył, ale stulą przydawała mu powagi, stanął na kazalnicy podziwiany przez wielu, a znany już w całym chyba cywilizowanym świecie, słynny reformator Kościoła wielcebnym doktor Marcin Luter. Słowa, które wypowiadał, układały się w zdania, a zdania hipnotyzowały słuchaczy.

Gdyby jednak zacząć tych ostatnich dopytywać co tak naprawdę ze słów Lutra rozumieli, większość zapewne nie umiałaby odpowiedzieć. Luter kazał i to im wystarczało.

Większość rozumiała z tego całego szumu i zamieszania, z głoszonych przez niego nauk, tylko tyle, że wszystko, co było, należy zmienić, unicestwić i na gruzach budować nowy świat, nowy ład, nową sprawiedliwość i głosić też nową... prawdę.

I niektórzy wzięli to sobie do serca. Myśleli, że on tak na poważnie. Kim byli ci naiwni? Otóż chłopami, którzy zaryzykowali, by przeciwstawić się swoim panom. I w tymże, 1524 roku, pierwsi powstańcy chwycili za broń – za widły, kosy, grabie, co tam kto miał, pałac, rabując, na odlew wałąc, kogo popadło. W pierwszych dniach października rewolta rozgorzała na całego.

Teraz czekano już tylko na to, jakie stanowisko zajmie Wielki Reformator, którego chłopscy powstańcy mieli nieomal za boga i mieli też nadzieję, że się wykreuje na ichniego przywódcę.

\* \* \*

Kościół był przepelniony po brzegi. Widziało się ludzi wszystkich stanów: i chłopów i mieszczan i szlachciców i du-

chownych. A Luter mówił... i mówił... i ręce wznosił i opuszczał i gestykułował. Jego pospolita, nalana twarz nie wyrażała wszakże żadnych uczuć. Lecz nie mówił beznamyślnie. Bynajmniej. A to jedno z drugim trudno jest pogodzić, mistrzem tedy musiał być nie lada.

W końcu jednak ten i ów pojął, że to, co słyszy, nijak nie pasuje do tego, co kaznodzieja wygłaszał wcześniej, a czego na domiar nie powinna nauczać osoba duchowna, a za taką doktor Luter wszak przecie ciągle uchodził.

Oto bowiem ni mniej, ni więcej, tylko zwrócił się do książeń, iżby zabijali buntujących się chłopów, z góry rozgrzeszając ich z tych uczynków i pouczając, iż ręka, która kieruje mieczem, nie jest ręką człowieka, lecz ręką samego Boga i to nie człowiek wiesza, łamie kołem, ścina, morduje i prowadzi wojnę, lecz Bóg. Bo jeśli ciało chorzeje i członki dotyka gangrena, to trzeba je amputować, iżby uratować życie człowieka i lekarze tak czynią. Podobnie tedy trzeba spojrzeć na żołnierzy, którzy chociaż zabijają, to przecież nie z okrucieństwa, bo to, co czynią, jest konieczne dla świata i nieodzowne niczym jedzenie i picie dla ciała. I tak właśnie – mieczem – trzeba bunt chłopski uśmierzyć.

W kościele dało się słyszeć najpierw szum, a potem wyraźny pomruk niezadowolenia. Ktoś splunął w kierunku kazalnicy, ktoś pogroził pięścią. Znaczna gromada dotychczasowych słuchaczy rozpychając się łokciami, wzburzona ruszyła ku wyjściu.

Doktor Luter zdążył ku końcowi przemowy. Widząc, co się dzieje, nie zamierzał dalej ciągnąć tego tematu.

Zszedłszy z ambony, skierował się w stronę prezbiterium, ocierając rękawem habitu czoło zroszone potem. Chciał, mi-

nąwszy ołtarz, skryć się w zakrystii, ale naraz, jakby wyrastając spod ziemi, zastąpił mu drogę jakiś mężczyzna o smagłej cerze i żółtych oczach z pionowymi pustymi źrenicami, ubrany wedle hiszpańskiej mody.

– Witaj doktorze! Gratuluję wyśmienitego kazania – uśmiechnął się szeroko.

Luter bacznie mu się przyjrzał, mierząc od stóp do głów i głęboko zajrzał w te jego osobliwe oczy.

– Wiem, kim jesteś, Atanasie... *apage!*<sup>14</sup> Nie chcę już więcej twoich rad ni sugestii.

– Jakoś ci wcześniej moje rady nie wadziły... ale teraz akurat nie mam żadnej. Chcę ci tylko pogratulować, zrobiłeś dziś wspaniałą robotę, piękne ona wyda owoce!

– *Apage!*

– Doktorze!

– Czego?

– Hm... jakby tu rzec... i śmiesznie i żałośnie wyglądasz w tym habicie. Wszak żaden już z ciebie mnich! Śluby połamłeś, Kościół rzymski cię wypluł, rzucając anatemę...

Luter spojrział na rozmówcę spode łba i mruknął:

– Nie sposób nie zgodzić się z tym, co mówisz. Ale nie wszystko to prawda, co mówisz.

– W sprawie czego?

– Połamania ślubów. Przynajmniej jawnie i oficjalnie. Żony nie mam.

– Kwestia czasu. Ale w tym habicie jej nie znajdziesz, co najwyżej gromadkę konkubin, a te przecie już, zdaje się, przytulasz! – dziwny mężczyzna parsknął śmiechem.

Luter machnął dłonią, opędzając się od natręta.

---

14 *Precz!* (łac.).

\* \* \*

Popołudnie 9 października 1524 roku było w miarę ciepłe i pogodne. Doktor Luter postanowił udać się na przechadzkę, aby zażyć powietrza. Kiedy pojawił się na ulicy, jego widok wzbudził niemałą sensację. Oto bowiem nie miał już na sobie augustiańskiego habitu, lecz długą do ziemi czarną spodnią suknię, po wierzchu okrytą fałdzistym, tej samej długości i tejże samej barwy płaszczem, na stopach nie widać było mniszych sandałów, lecz bogate skórzane buty, głowy zaś nie okrywał mu mniszy kaptur, lecz doktorski beret, który całkowicie zakrywał zarastającą już tonsurę.

Jakiś przechodzień, najwyraźniej niebędący zwolennikiem nauk reformatora na jego widok w nowym przyodziewku parsknął śmiechem i z szyderstwem zakrzyknął:

– I oto wąż zmienił skórę!

\* \* \*

Tajemniczy mąż w hiszpańskim stroju, który rozmawiał z Lutrem w świątyni, wolnym krokiem podążał za dwoma mnichami, najwyraźniej zwolennikami reformy Kościoła i świata, chociaż... chociaż... nie do końca może jeszcze do tego przekonanych...

Nadstawiał ucha i słuchał, jak młodszy z zakonników składał swojemu mentorowi relację z tego, co się działo w Niemczech:

– Ojczy, w okresie od października 1524 do października 1525 roku po licznych krwawych i wyniszczających kraj po-

tyczkach i bitwach, śmierć poniosło ponad sto tysięcy niemieckich chłopów. Tych, którzy dali wiarę, że reformacja ich wyzwoli.

– No przecież wyzwoliła.

– A to z czego?

– Z życia, głupcze, z życia! Ach! Jakaż to piękna ofiara w zacnej sprawie złożona. Ten zapach krwi... czujesz go bracie? Czujesz? Słodkożelazisty zapach chłopskiej juchy...

– Niczego nie czuję. Jeśli jednak owa ofiara przyniosła ci, ojczy, aż takie zadowolenie, cieszę się razem z tobą.

– O tak!... Na jednym froncie się traci, na innym zyskuje... Przeczuję, iż takich ofiar będzie tu jeszcze więcej... dużo, dużo więcej... I wtedy wszystko się zmieni... Kościół się zmieni... cały świat się zmieni... Niemcy zmienią świat! To z Niemiec wyjdzie płomień, który świat podpali!

– Pewnie. Tyle że na razie kraj wyniszczony, masy chłopów bez środków utrzymania. A brzuchy domagają się stawy. Niejeden w rozpaczę targnie się na własne życie, a może zadusi czy zarąbie też dziadki i żonę, aby nie cierpiały? Ale inny czmychnie do kniei, gdzie sobie urządzi kryjówkę, dogada z drugim, piątym, dziesiątym i po gościńcach będą rabować podróżnych. Strach będzie wędrować przez niemieckie kraje. Do tej pory rabunkiem trudnili się tylko nasi wspaniali rycerze, teraz wyprodukowali sobie konkurencję spośród gminu. Dawniej wiedziało się, który zamek omijać, teraz już nigdzie nie będzie się pewnym swego losu.

\* \* \*

Gdy protestantyzm w Niemczech okrzepł, gdy Kościół luterski formalnie się ukonstytuował w roku 1530 na sejmie w Augsburgu, gdzie opracowano dokument znany pod nazwą *Confessio Augustana*, czyli *Wyznanie Augsburskie* wiadomo już było, iż katolicyzm znalazł się w defensywie i chociaż może nie śmiertelnie, ale bardzo ciężko został poraniony.

A kiedy prócz Lutra wystąpili inni jeszcze naprawiacze świata – Melanchton, Zwingli, Kalwin, Knox, czy król Anglii Henryk VIII<sup>15</sup>, wymieniając tylko tych główniejszych, protestantyzm jął się roznosić niczym potężny pożar po całej Europie.

Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok narastał konflikt między katolikami a zwolennikami reformacji. Kościół katolicki tracił wiernych i to zarówno w zastraszających ilościach, jak i w zastraszającym tempie. Odpadało od niego albo dobrowolnie, albo pod przymusem tysiące i tysiące ludzi.

Wypowiedziano tedy protestantom wojnę. Ci jednak tak urosli w siłę, a szczególnie w Niemczech, że niektóre państwa i miasta Rzeszy 27 lutego 1531 utworzyły związek protestanckich księstw i miast<sup>16</sup>, aby wspólnie się bronić przed katolikami. Razem reprezentowali taką moc, iż cesarz Karol V musiał się przed nim ugiąć i zawarł z nimi już w rok później upokarzający dumnego władcę pokój. I to bynajmniej nie na jego warunkach.

Cóż... widać tak się miały potoczyć losy świata...

Nadeszło nowe?

Zasadne pytanie.

Poniekąd. Ale bardziej nadszedł niesłyszany zamęt, dla niepoznaki nazwany Odrodzeniem czy tam Renesansem. Tak,

---

15 1491-1547.

16 Związek szmalkaldzki.



rozkwitło odrodzenie, potężne, ale starożytnego zabobonu, okultyzmu, magi białej, czarnej i jakiej tam jeszcze, alchemii, hermetyzmu, wróżbiarstwa we wszelkich jego odmianach, a przede wszystkim satanicznego gnostycyzmu...

I we wspaniałych pałacach i na uroczyskach odprawiano *czarne msze*, a Europę rozświetlały niezliczone stopy, w zdecydowanej większości rozpalane przez *postępowych* reformatorów, u których *zacofani* katolicy inkwizytorzy mogliby co najwyżej terminować...

I tak się owo toczyło.

Dziś te zdarzenia mocno wyblakły bądź wręcz pokrył je mrok niepamięci, ale przecież ciągle wydają owoce. A czy zdrowe, czy trujące niechaj już każdy sam w sercu osądzi...

Tak czy inaczej, dzień 27 lutego 1531 roku już ostatecznie rozpoczął czas *nieubłaganego postępu*... i z Niemiec wyszedł płomień, który świat podpalił. Ten był pierwszy, bo potem pojawiały się kolejne płomienie, które sprawiały, iż świat gorzał coraz mocniej, na coraz większym obszarze, iżby w końcu go spopielić... ale o tym później...

\* \* \*

W zimowy grudniowy wieczór roku Pańskiego 1717, za oknami monarszych komnat wersalskiego pałacu rozlegało się nienaturalnie upiorne wycie wichury pędzącej od północy ku murom wspaniałej rezydencji, która się rozsiała wśród niemięcej wspaniałych ogrodów, teraz jednak skrywających swą krasę, bo przyprószonych śniegiem.

Dziesięć lat liczący król Francji Ludwik XV<sup>17</sup> na wpół leżał na szezlongu obitym błękitną materią przetykaną w fantazyjne wzory złotą nicią i z powagą malującą się na dziecięcej twarzy, starając się ukryć lęk, wsłuchiwał się w opowieść, którą snuł marszałek Villeroy<sup>18</sup>.

Prócz niego w komnacie znajdował się regent, znany z niebywałej wprost rozpusty księżę Philippe d'Orléans<sup>19</sup>, który swoje życie erotyczne rozpoczął w wieku lat czternastu, gdy to po raz pierwszy zniewolił dziewczynę imieniem – co pamiętała znakomicie – Eleonora, córkę prostej dozorczyńi w zamku, w którym wówczas przebywał.

Obok, wpatrzona w ojca rozkochanym wzrokiem siedziała dwadzieścia dwa lata licząca jego piękna córka, Marie Louise Élisabeth d'Orléans, księżna de Berry<sup>20</sup> nazywana *Joufflotte*, z którą, jak szeptano w Paryżu, utrzymywał kazirodczy związek, i to wcale nie w wielkiej skrytości, lecz nieomal jawnie, kiedy to się oddawał orgiom podczas słynnych kolacyjek, na które spraszał zwykle kilka starannie dobranych osób, w tym

---

17 1710-1774. Królem został w roku 1715, jednak rządy objął dopiero w roku 1723, w wieku lat 13, wcześniej w jego imieniu rządził regent.

18 1544-1730 – marszałek Francji, minister stanu Ludwika XIV, członek Rady Regencyjnej, opiekun i wychowawca Ludwika XV aż do roku 1723.

19 Filip II Burbon-Orleański (1674-1723) – regent w latach 1674-1701.

20 Księżna de Berry (1695-1719) znana z wyuzdanej rozpusty córka księcia Filipa Orleańskiego. Urodziła sześcioro dzieci, z których przeżyła tylko jedna córka, która została zakonnica, pozostałe albo rodziły się martwe, albo marły w niedługi czas po urodzeniu. Przynajmniej jedno z nich mogło począć się ze związku z jej ojcem.

i tę swoją śliczną córeczkę o twarzy niewiniątka, ale reputacji Messaliny.<sup>21</sup>

Marszałek mówił zajmująco, opowiadając młodziutkiemu królowi o niezwykłym i wciąż niewyjaśnionym zdarzeniu, które miało miejsce w Paryżu w roku 1700. A umiał to robić znakomicie, budując nastrój grozy i nerwowe napięcie w słuchaczu.

– Otóż, *Sire*, żył tu niegdyś, przy rue de l’Hirondelle<sup>22</sup>, pewien człowiek, zwany *mistrzem* Dumasem, niegdyś prokurator w Chatelet, ale w tamtym czasie już niepełniący obowiązków. Wraz z nim mieszkali, chociaż dorośli już byli – syn i córka. Miał też i żonę, a jakże. I służącą. Żyli skromnie, bo nadmiarem pieniędzy nie grzeszyli i liczyć się musieli z każdym *sou*.

Gdy człek ów osiągnął wiek około sześćdziesięciu lat, zaczął się jakoś inaczej niż wprzód zachowywać – zbudował sobie bowiem na poddaszu domu, w którym mieszkał, izbę, w której przesiadując w pogodne noce śledził bieg gwiazd i kreślił horoskopy. I gdybyż tylko to! Nie, on parał się tam również czarami, podpisawszy wprzód uroczyście pakt z diabłem! A przynajmniej tak wokoło szeptano. Tenże diabeł zaś sprawił, że *mistrz* Dumas nieomal z dnia na dzień z nędzarza zamienił się w bogacza! Ten, który liczył medziaki przed wyprawą do rzeźnika po mięso na skromny niedzielny obiad, teraz jadał na złocie!

---

21 Mesalina – Valeria Messalina (17-48), cesarzowa rzymska, żona cesarza Klaudiusza (10 p.n.e. – 54 n.e.) słynąca z niebywałej rozwiązłości. Ponoć miała aż stu pięćdziesięciu kochanków.

22 Bardzo stara ulica, powstała już XII wieku, w lewobrzeżnej części Paryża, znajdująca w niewielkiej odległości od Pont Saint-Michel.

*Mistrz Dumas* zaprzestał chodzenia do kościoła, a o księżach, sakramentach, nabożeństwach nawet słyszeć nie chciał. Natomiast przez lat trzydzieści, regularnie, w każdy piątek, o trzeciej po południu, udawał się do swojej tajemnej komnatki na poddaszu gdzie oczekiwał na niezwykłego gościa. Kim zaś był ów gość – nikt nie wiedział. Był to jakiś bardzo postawny mężczyzna, który na roslym czarnym mule zajeżdżał tuż przed drzwiami domu *mistrza Dumasa*. A kto ich zobaczył ze zgrozą odwracał wzrok, bowiem obaj i wierzchowiec i ten, który go dośiadał byli pokryci okropnymi otwierającymi się i przez to krwawiącymi bliznami. I to tak potwornymi, tak szpetnymi, że sam ich widok mógł sprawić, że ów, kto je ujrzał mógł z przestraszu omdleć, albo i co gorszego.

Tajemniczy jeździec, zeskoczywszy z siodła szedł wprost do owej górnej izby, gdzie, za zamkniętymi drzwiami, przez jakiś czas przesiadywał ze starcem. Co tam robili, o czym rozmawiali? – nikt nie wiedział.

I nadszedł dzień 31 grudnia 1700 roku. Nie było jeszcze południa, może jakaś dziesiąta, może kwadrans na jedenastą, na pewno nie później. Starzec jak zwykle przebywał w swoim tajemnym pokoju, oddając się sobie tylko znanym zajęciom.

I oto naraz... nie tak jak zwykle o trzeciej po południu, a o owej dziesiątej przed południem, *choć także w piątek*, na ulicy rozległ się stukot kopyt muła uderzających o bruk.

Ten sam okropny tajemniczy mąż, na tym samym mule stanął przed drzwiami starca. Zeskoczywszy z siodła pobiegł wprost na górę, do owej tajemnej komnaty. Wpadł tam i drzwi za sobą zatrzasnął. *Mistrz* zaś na jego widok przeraził się okrutnie co można było wnieść ze straszliwego krzyku przesyconego lękiem i grozą, jaki wydał z siebie i to tak gromko,

że rozległ się on w całym budynku, budząc przerażenie w tych, którzy go usłyszeli. Żona i dzieci czym prędzej pośpieszyli mu zatem na ratunek, ale starzec nie otwierając zaryglowanych drzwi oświadczył, by się nie lękali, bo musi teraz odbyć nader ważną rozmowę ze swoim gościem. Uspokojeni zeszli więc na dół.

Lecz nie była to rozmowa spokojna, ponieważ uszu domowników dolatywały odgłosy zażartej kłótni. Co jednak było jej powodem? Z tego wzajemnego przekrzykiwania się przybysza i mistrza Dumasa, zmiarkować nie mogli. Wreszcie jednak dziwny gość opuścił tajny pokój i pędem zbiegłszy po schodach, dosiadł muła i galopem odjechał.

W ślad za nim powoli, ślaniając się na nogach, zszedł na dół także i wiekowy czarownik, bo jakże inaczej można tego starca celniej nazywać, skoro się już dowiedzieliśmy, czym się w swym odosobnieniu paraf?

Przybywszy zatem do salonu, w którym znajdowali się jego najbliżsi, bezwładnie osunął na podłogę i zdało się, iż za chwil parę wyzionie ducha.

Był straszliwie zmieniony – wyglądał niczym trup: twarz jego była woskowsina, oczy zgasłe, drżące ręce, płuca z trudem łapiące oddech, usta rozwierające się i przymykające jak u ryby, z których wydobywało się rżenie.

Żona z córką chciały go zaprowadzić do sypialni, izby odpoczął w pościeli, lecz on zjawił się tu wyłącznie po to, by oświadczyć, że tego dnia nie będzie mógł zjeść z nimi obiadu. Następnie, z trudem podźwignąwszy się na nogi chciał wracać do izby pod dachem. Nie mając jednakowoż siły, aby dotrzeć tam samemu, prosił, by mu pomóc wejść.

Dzieci, acz niechętnie, spełniły polecenie ojca. Nim się zamknął w swojej samotni, poprosił, iżby wieczorem przyszły po niego, bo wątpi, czy uda mu się samodzielnie zejść na dół. I tym razem, po raz pierwszy i jedyny, starzec nie zamknął się od wewnątrz, lecz dał klucz synowi i nakazał, by to on go zamknął od zewnątrz i zjawił się przed wieczorem.

A skoro nastąpiła wyznaczona przez ojca pora, domownicy udali się po niego. Syn, poręczonym mu przez ojca kluczem, otworzył drzwi tajemnej komnaty, ale... ta była pusta! *Mistrz Dumas* zniknął!

Wyjść nie mógł, bowiem jedyny klucz od zawartych starannie drzwi wejściowych posiadał syn, a w pomieszczeniu starca nie znaleziono.

Przerażeni małżonka i dzieci Dumasa, zaniepokojeni by nie padło na nich podejrzenie, iż zamordowali męża i ojca a zwłok się pozbyli, mając pewność, iż żadną miarą bez ich wiedzy nie mógł on opuścić pokoju przy dachu, chyba, że co najwyżej jakimś tajnym przejściem, po ukrytych schodach, sprowadzili specjalistów od budownictwa, aby gruntownie spenetrowali i zbadali pomieszczenie. Nie wykryto wszelako, mimo nader drobiazgowych badań, ani ukrytych drzwi, ani żadnej innej możliwości, by zamknięte od zewnątrz lokum można było opuścić!

I wtedy zaczął się ich koszmar. Władze śledcze uznały bowiem, iż jedynym racjonalnym wyjaśnieniem owej zagadki nie jest nic innego jak mord na starcu i ukrycie zwłok. Tyle, że jakichkolwiek śladów zbrodni nigdzie nie zauważono.<sup>23</sup>

---

23 Por.: *Mémoires des Archives de la Police de Paris, pour servir à l'histoire de la Morale et de la Police, depuis Louis XIV jusqu'à nos jours. Par J. Peucher, archiviste de la Police, Paris 1838, T. I, p. 231; Georges de*

Syn i córka przez lata całe usiłowali uwolnić się od podejrzeń, co im się jednakowoż nie powiodło. Zniknięcie mistrza Dumasa zaś pozostaje nierozwikłaną tajemnicą aż do tej pory, *Sire*. I to już koniec mojej opowieści.

Marszałek umilkł.

Ludwik zadrzał i jeszcze bardziej skulił się w sobie.

Marie Louise podniósłszy się z fotela podeszła do króla.

– *Sire*, nie lękaj się, z nami nic ci nie grozi – powiedziała i objąwszy go ramionami, przytuliła do piersi, a potem namiętnie ucałowała tego dziesięcioletka w usta, jednocześnie obrzucając go pożądlwym spojrzeniem.

– Nie popadaj w przesadę – zwrócił się do niej ojciec, księżę Filip Orleański. – Zachowaj choć trochę umiaru, *Joufflotte!*

– Czyż nie byłoby to, mój ojcze interesującym doświadczeniem? – uśmiechnęła się zalotnie. – Wszak ja nie byłam wiele starsza.

– Och! Daj już temu pokój, daj pokój! To odrobinę niesmaczne.

Marszałek Villeroy obrzucił oboje nienawistnym spojrzeniem, ale ani regent, ani jego córka nie zauważyli tego.

Wichura za oknem przybrała na sile, budząc przyprawiające o dreszcz niepokoju pojękiwanie i wycie w pałacowych komnatach...

\* \* \*

Tegoż to roku, roku 1717, kiedy arystokraci – choć nie wszyscy przecie – bez jakichkolwiek, najmniejszych nawet ha-

---

Maubertuis, *L'évolution spirituelle de l'Antiquité à nos jours*, Paris 2015, pp. 223-224.

mulców, nieustannie obrażali Boga najwyuzdańszą rozpustą, zbrodniami i brakiem miłosierdzia, gdy spóółstwo – choć nie całe przecie – od Stwórcy się odwracało, Jemu przypisując wszelkie zło, jakie świat dotykało, to *inni*, skryci w mroku swoich tajnych schowów, *oświeceni*, jak sami o sobie mówili, potajemnie rozpoczęli systematycznie, celowo i w sposób przemyślany podkopywać fundamenty *Civitas Christiana*, iżby ostatecznie doprowadzić do *transmutacji* człowieka w *boga*...

\* \* \*

Tenże jednak rok 1717, rok sławny, bo rozpoczynający 24 czerwca, w dzień św. Jana Chrzciciela, w londyńskiej gospodzie *Goose and Gridiron Ale House*<sup>24</sup>, erę *oświecenia i postępu* nie zakończył się jednak szczęśliwie. Oto bowiem w samo Boże Narodzenie w nocy z piątku na sobotę, z 24 na 25 grudnia, potężny sztorm uderzywszy od północy w wybrzeża Holandii, Niemiec i Skandynawii, wywołał potworne powodzie, w których zginęło naraz, w parę godzin zaledwie, aż czternaście tysięcy osób a może i więcej!

Było to straszliwe *memento* dla buntującej się ludzkości... Na nikim jednakowoż nie zrobiło ono większego wrażenia, jedynie czym zaowocowało to natężeniem złorzeczeń i wygrażania Bogu pięścią...

Ludzkość z coraz większą prędkością staczała się ku przepaści... i nic już nie mogło tego pędu zatrzymać... a w mrocznej głębi czaiły się nieubłagane *oświecenie* i *postęp* nieubłagany...

---

24 W wolnym tłumaczeniu *Pod gęsią z rusztu* (ang.); tu po raz pierwszy całkiem jawnie wystąpiła masoneria, tworząc Wielką Lożę Londynu.



## Magowie, awanturnicy, ladacznice...

### Ptak odfruwa...



Wspokojnym i cichym gnieździe hrabiów d'Urgel y d'Osona, na szczycie jednej z pirenejskich gór, w odrestaurowanej zamkowej wieży wiedli cichy żywot państwo Białeccy – Mikołaj, Florine i syn ich jedynak – Jacob Pere Joan<sup>25</sup>, który przyszedł na świat w 1735 roku.

Czas upływał im powoli, niezwykle powoli, że aż zdawać by się mogło, iż tak naprawdę to żyją poza nim, jakby zamknięci w nieruchomej przejrzystej bańce sformowanej z kryształicznego zestalonego powietrza.

Przesycał ich niebiański nieomal spokój otulający góry, i to zarówno ten płynący od lodowośnieżnych szczytów, jak i nagich kamienistych zboczy, na których tu i ówdzie widać było kępy pirenejskich skalnic nazywanych przez Kastylijczyków *corona de rey* – *koroną króla*, o drobnych gęsto pokrywających delikatne pędy białych kwiatuszkach, gdzieniegdzie sąsiadujących z szarotkami, ostami *cardo azul*, czyli mikołajkami błę-

---

25 Jacob Pere Joan po katalońsku, po hiszpańsku Jacobo Pedro Juan, po polsku zaś Jakub Piotr Jan.

kitnymi o żywoniebieskich kwiatach i skarłatymi czarnymi sosnami *pino negro* trzymającymi się kurczowo obnażonymi korzeniami szczelin i spękań skalistych ścian.

I płynął ów spokój także i od zielonych dolin pełnych ziół wonnych i różnobarwnych krzewów, krzewinek i kwiatów – błękitnych orlików, ostróżek rycerskich *espuela de caballero* o delikatnych rozgałęzionych łodyżkach, złocistych dziurawców, i bladofiołkowych lub białych, o nieomal przezroczystych płatkach, hiacyntów – *jacintos blancos*, które lubiły się też wspinać na osypujące się rumowiska, od gęstych połaci różowo kwitnących geraniów, żywoliliowych *ramondów* – fiołków szorstkich, fioletowych irysów i ostów, bladoróżowych posłonek, złocistych żarnowców i kolcolistów-*espinillo*, błękitnych goryczników, białych rumiankolistnych krwawników i starców-*jakobelli*, i cudownych, choć cuchnących, lili pirotejskich o złotych płatkach i czerwonych pylnikach, czy wreszcie śmiertelnie trujących liliowobłękitnych tojadów-*anapelli*, spośród których tu i ówdzie wyrastały pokrzywione pnie starych *encin* – dębów *carrasca* albo *chaparra* pierwszych o liściach podługowatych i jakby srebrzyście omszonych, u drugich zaś lśniących, kształtem zbliżonych trochę do liści wawrzynu a trochę do ostrokrzewu.

I płynął ów spokój od leśnych też połaci – od cisów, od sosen, jodeł, jesionów, dębów, buków i brzoź podszytych jarzębinami, rododendronami, leszczynami, jałowcami, paprociami i runem mącznic, borówek i bladofioletowych urdzików-*soldanelli* o krągłych liściach i postrzępionych dzwonekowatych płatkach.

I dnie mijały i tygodnie i pory roku... A oni, szczęśliwi, szczęśliwi nad miarę, dziękowali niebiosom za dar serc spokojnych i myśli czystych.

Ale nic nie trwa wiecznie i kiedyś musi nadejść dzień przesycony mrokiem i oparami szatańskości...

\* \* \*

Lipiec roku 1757 przyniósł Europie, falę straszliwych upałów. Ludzie nieopisanie cierpieli i to nie tylko z powodu trudnych do zniesienia temperatur, ale również i dlatego, że towarzyszyły im jakieś dziwne i nieprzyjemne dolegliwości. Między innymi częste i obfite krwotoki z nosa tak u kobiet, jak i mężczyzn, a u kobiet dodatkowo też i z narządów rodnych. Ludzie byli wyczerpani, odczuwali silne bóle i zawroty głowy, dotykało ich wielkie osłabienie i zlewne poty, ale także dławiące duszności. Co ciekawe mocz wielu osób był bardzo gęsty i miał niezwykle ciemną, nieomal brunatną, barwę...

Z powodu tych niebywałych cierpień wielu pragnęło śmierci i wielu też zmarło... Upał, jak nietrudno się domyślić, przyniósł suszę, a susza spadek plonów... więc nastał głód... a z głodem nędza dla wielu...

\* \* \*

Białeccy nie skąpili i wspomagali okolicznych wieśniaków, nie żałując grosza. Do czasu jednak.

Koniec października, kiedy słoneczne dnie przeplatają się z pochmurnymi, a wiatr niesie ze sobą dojmujący chłód, a nie orzeźwienie, pani Florine zaczęła niedomagać.

Któregoś jesiennego wyjątkowo pogodnego poranka, kiedy przez szybki okien zajrzało słońce, rzucając do wnętrza snop bajkowego nieomal światła, Mikołaj, spojrzawszy na żonę, zauważył, że z nosa zaczyna się jej sączyć krew. Najpierw wykwitła na jej górnej wardze rubinowa kropla, potem druga, trzecia, aż wreszcie, czerwona struga wypłynęła obficie...

\* \* \*

Pani Białecka słabła z dnia na dzień. Nieustannie nieomal krwawienia straszliwie ją bowiem wyniszczały, ale cierpiała w milczeniu, aż nareszcie pewnego grudniowego wieczora, gdy za oknem szalała przepęlniona poświstami i chichotami wichura, nieomal gnąc drzewa i z trzaskiem łamiąc ich gałęzie, zgasła, niczym świeca, która się dopaliła do samego końca...

Miała pięćdziesiąt jeden lat... i zdawać by się mogło, iż szmat życia jeszcze przed nią... Cóż niezbadane są wyroki Boskie...

Pan Mikołaj, chociaż we wszystkie dni choroby małżonki starał się nie okazywać uczuć, teraz całkiem się wzruszył i rozszlochał. Drżał cały, a obfite łzy płynęły mu po policzkach.

Rzucił się do łóża, na którym spoczywała umarła, runął na kolana i obsypał pocałunkami stygnące dłonie, a potem tak jak stał – bez kurty i bez czapki pędem wybiegł z wieży i pognał gdzieś hen, w stronę grani.

Jacob rzucił się za nim, wołając:

– Ojczel! Ojczel! Wstrzymaj się, wracaj!

Lecz stary Białecki albo w odgłosach wiatru go nie słyszał, albo słyszeć nie chciał.

Młodzieniec nie mógł dopędzić ojca, który gnał przed siebie, jakby nie skończył sześćdziesięciu sześciu lat, a miał ich

## Spis treści

Prolog	5
Magowie, awanturnicy, ladacznice...	32
Ptak odfruwa...	32
Marsylski przystanek	41
Ezidkhan	44
Spotkanie w porcie	52
Osobliwa wieczerza	56
Torba z liści palmowych	61
Propozycja	66
W drodze	78
Giacomo Girolamo Casanova	83
Ku Paryżowi	93
Dotyk nieznanego	103
Nocne odwiedziny	110
Dom przy rue de la Tannerie	115
Wielki świat	125
Zaproszenie	128
Królewski test	133
Florence	142
Kuzynki	145
Odmiana	148
Hrabina Białecka	150
To osobliwe...	159

Zesłanie	164
Pireneje	167
Znów w stolicy	172
Markiza d'Urfé	179
W odosobnieniu	190
Błyski w mroku...	193
Parc-aux-Cerfs	208
Dżdżyste popołudnie	220
Demoiselle Dufresne	223
Sierpień 1761	235
Gorycz w duszy	242
W nieznane	244
Zaródź przemiany	248
Głębie mrocznego <i>Światła</i>	248
<i>Bestia</i> z Gévaudan	259
Ruiny i rozwaliska	265
Ku <i>Nowemu Światu</i>	273
Mrok w sercu	289
Król umarł, niech żyje król!	295
Savannah i dalej...	298
Francuskie drogi i dróżki	308
Korespondencja	313
Brylantowy skandal	319
Nowi <i>Światoburcy</i>	332
Diana i wicehrabia	340
Niespodzianka	348
Kropla, która przelała dzban...	352

Przemiana	355
Mroczne <i>Światło</i>	355
Jady trupie	361
Księżniczka de Lamballe	365
Królobójstwo	370
Wandea	373
Nowe <i>bóstwa</i>	381
Tuman krwawej mgły	386
Kłopot	394
Sandomierz	401
Luiza i Maciej	405
O zmroku	410
Epilog	414
Appendix	417